N^ro 2.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 8 stycznia 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincii chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyższych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincii można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem redakcii Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcia ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosii prenumerata składa się na pocztach.

MODY.

Z Paryża, dnia 24 Grudnia 1847.

Stroje damskie. Nie możemy nic stanowczego o strojach balowych powiedzieć; damy tylko opis kilku sukień. Strój młodej mężatki: Suknia z włoskiej kitajki białej, z falbaną koronkową, dochodzącą z przodu do stanu i podpiętą z każdej strony fontaziami z wstążki; stanik gładki, wycięty, u dołu zaokrąglony; berta koronkowa, z tyłu w formie pelerynki a z przodu zakończona na kształt wyłogów; długi welon tiulowy. Druga suknia od wyjścia z adamaszku fioletowego, obszyta w sposób fartuszka koronką czarną, ułożoną w zygzak i zakończoną fontaziem z wstążki fioletowej atłasowej; stanik gładki, z przodu otwarty, obszyty koronką, ktora się łączy z obszyciem koronkowem przy spodnicy; rękawy gładkie, u dołu zaokrąglone i tak otwarte, iż można wziąć rękawki muszlinowe pod spód; podkładka muszlinowa haftowana; kapelusz aksamitny zielony, długi i zaokrąglony przy twarzy, ubrany piórem długiem, spadającem na bok, i wstążką różową atłasową pod kapeluszem.

Stroje męskie. Pominąwszy mody, które już znamy, i które się nie zmieniają, można widzić wiele bardzo paletotów z sukna prawie białego lub z innych materij jasnych. Z przodu są zawsze nakształt szalów, spięte na dwa lub trzy małe guziki. Noszą także coraz więcej płaszczyki Saavedra jasne, okrągłe, trochę ukośne i nieco ścieśnione w ramionach.

Rycina przedstawia: Suknią balową młodej mężatki, opisaną w przeszłym numerze; cztery czypków i dwa półkoszulki.

Karta I. Figura 1. 2. 3. przedstawia frak. Fig. 4. branie miary i przykładanie podczas kroju. Fig. 5. 6. 7. 8. i 9. przedstawia paletot, oraz sposób najlepszy wykrojenia wszystkich części z sukna. Rękaw wierzchni może być dla oszczędności obrócony i wpuszczony w wycięcie szyi.

Figura 10. 11. 12. 13. i 14. sąto różne formy płaszczyków damskich; jedne w sposobie burnusów, drugie z pelerynkami, a inne kardynałki. Fig. 10. jestto kardynałka czyli płaszczyk damski z pleckami ukośno a przodkiem prosto krajanym, przez co w ramionach niema potrzebnej szerokości; czemu zaradzić trzeba wycięciem klinika na ramieniu. Tę samę formę wykroić można z dwoch kawałków, podzieliwszy ją od punktu 24. w ukos, i dając u dołu stosowną do materii szerokość: t. j. blisko 64 centymetrów z lekkich wełnianych materij, a 70 z półsukienka lub sukna, które teraz na płaszcze damskie nosić poczynają. Te dwie części można także wykroić z jednego kawałka, łącząc wycięcia razem i oznaczając plecy na ukos. Tym sposobem krając z figury 10. tworzy się figura 11.; zważać przytem potrzeba, że płaszcze powinne być węższe w plecach, gdyż ramiona nie są jednakowo zrobione i że wycięcie u szyi więcej ciągnie się w suknie niż w niektórych lekkich wełnianych materiach.

Fig. 12. zawiera dwie formy; jedna zupełnie okrągła, z wycięciem u szyi 0—8—14, które mocno wyciągnąć trzeba, gdyż inaczej tworzy się fałd wkoło wycięcia szyi, przez co forma ramion dobrze się nie odznaczy, i płaszcz wnet na przód wnet w tył się zsuwa. W drugiej formie plecki krają się ukośno a przodki prosto, co i zmienić można, krając plecki prosto a przodki ukośno. Wycięcie oznaczono 0 — 14 — 10 i żeby nie robić całkowitej formy oznacza się środkowy szew plecek prostą linią 9—10; i na tych płaszczach okrągłych trzeba dobrze wyciągnąć materią w wycięciu u szyi. Bierze się najmniej miar cztery: długość plecek, dlugość boku od wycięcia szyi, długość przodków i kołnierza.

Figura 13. i 14. sąto formy bardzo zgrabnych kar-

gynałek, w których szew u ramion przychodzi z przodu; przód dzieli się od plecek na wysokości łokcia i spada w formie płaszczyka. Plecki zaokrąglają się w tył coraz więcej w miarę oddalania się od miejsca, w którem zszyte są z przodkami. Fig. 13. wyobraża sposób, w jaki zagięte na przód plecy i zszyte z przodkami. Fig. 14. oznacza formę plecek samych, które się czasem krótsze krają i przedłużają obszyciem z koronek lub falbanami.

Karta II. Fig. 1. 2. 3. 4. i 5. przedstawia sposób, jak z formy krojów surduta przez dodawanie na szerokości paletot bywa krajany. Fig. 6. 7. i 8. wyobraża krój burnusa męskiego, który w ostatnim numerze roku przeszłego był na rycinie. Fig. 9. 10. 11. 12. i 13. wyobraża, jak z położenia nogawek wyprowadza się kształt kroku. Fig. 14. krój spodni.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

W salonie odbywała się właśnie z całą pańską uroczystością i z angielskim komfortem, ranna herbata. Przy wielkim stoliku, w wielkich poręczowych krzesłach siedziało cztery osób tylko, ale zato kręciło się parę kamerdynerów i kilku lokai.

Twarze osób siedzących były mniej więcej niewiele znaczące i w jeden typ salonowej przyzwoitości wmuszone, rzecby można gwałtownie, przez przyzwyczajenie do pewnych stereotypowych wyrazów, gestów i uśmiechów. Najznaczniejsze postawy na tym wymanierowanym obrazie całym, mieli pan hrabia Artur Gniazdowski, z wielką szeroką twarzą, codzień wygoloną najstaranniej, z wielką peruką, którę na przekor nowym zwyczajom, pudrował po staremu, i z największym brzuchem dodającym mu niemało powagi, więcej nawet, niżeli spadający nań z piersi mały jakiś krzyżyk orderowy, który nigdy nie odstępywał ubioru pana hrabiego, równie jak i owe dwa metalowe guziczki na boku od fraka przyczepione, świadczące wszem w obec i każdemu z osobna, że tam mieści się klucz szambelański. Zresztą z twarzy jego nic nie poznasz, bądź dla tego, że w rzeczy samej nic tam niema, bądź też, że hrabia Artur, niegdyś kawaler jakiejś ambasady, zachował sobie jako jedyny zarobek wyniesiony z tego zawodu, pewien uśmiech dyplomatyczny, którym traktował wszystkich równie hojnie jak tabaką z złotej tabakierki. Jedynym typem więcej odznaczonym na tej twarzy, było wydęcie warg, równie dyplomatyczne, bo dwuznaczne; mogło bowiem zarówno być oznaką dumy, jakoteż gastronomicznych nawyknień, które szambelan zacny wyniósł dyplomatycznej kariery swojej.

Pani szambelanowa była zato niezmiernie chuda, koścista, zasuszona i żółta gdyby mumia; typem zaś na jej twarzy charakterystycznym była surowość nieprzebłagana, w której łączyły się pobożność nadzwyczajna, dumna powaga pańskości i wieczne znudzenie, niczem nierozweselone, niczem nieprzerwane, odstraszające równych i niższych, dla wyższych jeno mające czasem blady i chłodny uśmiech. Wszakże pani hrabina była z księżnej urodzona.

Na twarzy panny Elżbiety, dwudziestoletniej hrabianki Gniazdowskiej, łączyły się najciekawiej oba typy rodzicielskie: uśmiech ojca szyderstwem ożywiony, i powaga matki, zaostrzona wewnętrznym gniewem na wszystkich i wszystko, który jak ów sęp prometeuszowy szarpał jej wnętrzności codzień starym i codzień nowym bolem. Tym sępem było źwierciadło, które jej codzień zrana, odbijając jej twarz ciemną przez ospę pooraną, dodawało dostateczną na dzień cały ilość złości, by nią wszystkim dała się w znaki.

Znudzenie wszystkich tych trzech twarz, spotęgowane aż do wyrazu nieszczęścia i boleści nigdy nieskończonej, było widome na czwartej twarzy, panny Genowefy, panny trzydziestoletniej, jakiejś dalekiej krewnej samego szambelana, która była najsmutniejszą w tym domu ofiarą: dumy obojętnej hrabiego, surowości pobożnej i gdyrającej hrabiny i złośliwości szyderczej panny Elżbiety; a musiała to wszystko znosić, bo nie miała biedaczka żadnego przytułku na bożej ziemi. Po naszych domach pańskich zdybać można niemało takich ubogich kuzynek, rezydentek nieszczęśliwych, nazywanych pięknie po francusku ***demoiselle de compagnie***, a traktowanych nie wiem po jakiemu, bo jużciż nie po polsku, gdy nie po gościnnemu. Toteż tylko francuski język ma na nie wyraz: ***Souffre-douleur***, a francuska muza utworzyła typ dramatyczny na takie biedne stworzenia, znany nam pod przepolszczonym nazwiskiem kopciuszka. I jeszcze obmawiają powszechnie wszyscy te biedne stworzenia, mówiąc z góry, że są złe, gadatliwe, obmowne i bóg wie co jeszcze. Bywa to tak zapewne, ale nikt się nie zastanowi nad tem, ile codziennych cierpień szpilkowych przebyć musi taka biedna rezydentka, przez miłosierdzie niby trzymana, aż nareszcie wszystko, co tylko żyło w jej biednej piersi, musi bolem przeżarte, żółcią przejedzone, wyschnąć do szczętu. O, bo to miłosierdzie, które jej skąpo daje, a z lichwą wymawia, za cel wszystkich kaprysów i złych humorów wybiera, wszystkich, najlichszych i nieustannych żąda usług, a nigdy je nie ceni należycie, ale zrzędzi i narzeka bez końca, to miłosierdzie jest okropne, upadlające człowieka, zniżające go do zwierzęcia, okalające jego wszystkie członki ciała, i czucia duszy,

i myśli głowy, wiecznym łańcuchem niewoli. I zaprawdę! do grzechów śmiertelnych należałoby porachować jeszcze takie miłosierdzie fałszywe.

By już od razu skończyć z tą galerią portretów rodziny Gniazdowskich, dodam jeszcze w końcu portre młodego hrabiego, najtrudniejszy do zrobienia ze wszystkich. Bo darmo szukać na tej twarzy jakiegobądź wyrazu. Co nie zniszczyło pańskie pstrokate wychowanie, to wyżarła wczesna rozpusta, zostawiwszy za sobą martwe i nic niemówiące łożysko wszystkich walk w buduarze, za kulisami, przy zielonym stoliku i na kawalerskich biesiadach odbytych. A co jeszcze mogło na tej twarzy pozostać z dawnych śladów urody, bo pan Alfred był najprzystojniejszy z całej rodziny, i z dawnych śladów młodości, bo miał dopiero lat dwadzieścia cztery, by może zasłonić ślady rozpustnego życia, pokryły wąsy, broda i długie włosy. I po tem wszystkiem, jak wąż po zgliszczach i pustkach, przelatywał czasem tylko wyraz szyderczy, podobny do wyrazu na twarzy siostry, ale zimniejszy, bo mu nie dodawały tego zapału, jaki wrzał w pięknych dosyć oczach panny Elżbiety, wygasłe, okularami zasłonione oczy pana Alfreda.

Do zaokrąglenia całego obrazu rodziny hrabiów Gniazdowskich, to jeszcze dodać muszę, że od roku już mieszkali na wsi, z niemałem zadziwieniem okolicznej szlachty, przyzwyczajonej do tego, że od niepamiętnych czasów nie mieszkali na wsi; i wszyscy łomali sobie głowy nad rozwiązaniem tej dla nich, bóg wie dla czego, zajmującej zagadki. Zagadka zaś cała była bardzo prosta i zwyczajna; hrabia Gniazdowski idąc za narowem i zwyczajem pewnej części panów naszych, tracił na próżne w stolicy wystawy więcej niż miał, i narobił mnóstwo długów, które teraz myślał zastąpić życiem na wsi, na pozór wystawnem, a w gruncie brudnem i skąpem. A to zamiłowanie w zbytkach i wystawie, to trwonienie nieustanne na wszystkie kapryśne zachcenia, jestto wada okropnie rozgałęziona między pewną częścią panów naszych — jestto więcej jak wada. Pieniądz zapewne szanować nad miarę nie godzi się, ale ten pieniądz jest przecie jedynym i najważniejszym warunkiem największego dobra, jakie człowiek posiadać może — tej najdroższej niepodległości osobistej. Długi tedy hrabiego Artura wypędziły go na wieś i spowodowały ten długi ustęp, do którego muszę jeszcze dodać koniecznie uwagę nad dziwną niesłusznością zdań ludzkich w osądzaniu jednej i tej samej zdrożności. Niechaj ktoś robi długi na życie zbytkowe, na szulerkę, na konie lub kochanki, umknie tymczasem za granicę; krewni pogodzą się z dłużnikami, obedrą ich i dłużnik oczyszczony z długów kosztem cudzym, wraca nazad do ojczyzny i nikt mu niema za złe haniebnego bankructwa, a do wszystkich salonów przyjmowany będzie równie dobrze jak pierwej. Niechże inny najuczciwszy człowiek narobi dłngów, które zrobić musiał koniecznie z powodu choroby albo innego nieszczęścia, lub by utrzymać żonę i dzieci, jaki nań krzyk powstanie; oszust! łotr! zawrzeszczą na niego, a że niema zaco umykać za granicę, więc musi zostać w domu i do ostatniego grosza musi więzieniem odpokutować za długi, które i tak nagryzły go już niepomału. Lecz zostawmy na boku te wszystkie uwagi nastręczające się mi pomimowoli, bobym nie skończył tak prędko zaczętego obrazku; i wprowadźmy już raz naszego bohatyra do salonu.

Na ukłon jego niski i potulny, ledwie mu się odkłoniono. Hrabia Artur obdarzył go uśmiechem jak zwykle zimnym. Hrabina ledwie spojrzała na niego, jakby na sługę, jakby na rzecz jaką nieżywą. Hrabianka rzuciła nań wzrokiem złośliwym; zdawała się radować, że nowa pojawiła się ofiara, na której może doświadczyć bezkarnie szyderczego dowcipu swego. Jedyny wzrok czulszy, litośny prawie, wystrzelił przez chwilę z oczu nieszczęśliwej kuzynki.

— „Jak się ma pan Bilczyński?“ zagadał półgębkiem hrabia Artur.

— „Pan Bilczyński rano wstaje“ rzekła hrabina, rzucając nań wzrok pogardliwy „i pewnie konno“ dodała po chwili kręcąc nosem.... „Genowefo! każ zakadzić!“

— „Coż tam słychać nowego, panie Bilczyński?“ wycedził znowu pan hrabia, dojadając spory kawał szynki.

— „I zapewne pan Bilczyński był już u swojej pięknej panny Łopuchowskiej“ zapiszczała hrabianka, przyciskając z drwinkami i miną złośliwą na nazwisko, które według zdania całej rodziny było bardzo śmieszne.

Nasz bohatyr był przyzwyczajony do takiego przyjęcia, które zawsze było jednakie; i choć w duszy czuł całą onego niegrzeczność, przecie jeździł przez głupią próżność do krzewinieckiego dworu; tym razem jednakże czuł się więcej rozgniewanym i zmieszanym niż zawsze; milczał więc, niemogąc znaleść słów stosownych, by na takie odpowiedzieć przyjęcie.

— „Pan Bilczyński nie raczy odpowiadać?“ zagadł znowu po chwili pan hrabia, mierząc młodzieńca oczami obojętnemi.

Nie mogę tu ominąć uwagi, jaka mi się nieraz nastręczała i na które nigdy sobie odpowiedzieć nie mogłem: że panowie uprzywilejowani herbem i majątkiem, do niższych od siebie podług swego mniemania przemawiają albo przez ty, jak naprzykład przemawiał hrabia Alfred, albo przez trzecią osobę, jak mówił do niego hrabia Artur. Jestto z ich strony śmieszny sposób lekceważenia drugich i pokazania swej urojonej wyższości. Przyzwyczajeni tak przemawiać do swoich podwładnych, do ekonomów, leśniczych itd., używają tego sposobu mówienia i do tych, którym niby chcą pokazać jaka między nimi różnica. I nie jestto z przypadku, ale

naumyślnie, bo jużciż z równymi sobie, to jest z tymi których się im podoba uważać za równych, rozmawiają przez pan. I nie wartoby było stracić ani jednego słowa w tym przedmiocie mało wagi mającym dla człowieka myślącego, który zapewne sam dla siebie nie powinien dbać o ten lub ów sposób mówienia, ani też powinien pchać się do towarzystwa, któremu się podoba takiemi sposobami śmiesznemi odgraniczać od niego, dla tego, że go mniej jaśnie wielmożna matka urodziła, lub że mu ojciec mniej albo wcale żadnego nie zostawił chłopa w spuściznie; ależ przecie dla samej ciekawości radbym doświadczyć, coby ów hrabia Alfred odpowiedział naszemu bohatyrowi, gdyby mu ty na ty odpowiedział, albo hrabiemu Arturowi na jego: „jak się ma pan Bilczyński“ odpowiedział zagadniony: „jak się ma pan Gniazdowski“ Wówczasby się pokazało, czy pan Gniazdowski i jemu podobni nie uważaliby podobnego powiedzenia za najokropniejszą niegrzeczność, za nieprzyzwoitość do nieba o pomstę wołającą; jednakże przyzwoitem to być mniemają, gdy mówią do człowieka, którego talent lub nauka mogą nawet wyżej od nich stawić, a stawiają niżej jeno przypadek urodzenia, lub większy jeszcze przypadek złota. A przecież godziłoby się pomyśleć nad tą śmiesznością, dziś już nieużywaną na całym bożym świecie, choćby dla tego tylko, żeby się nie wystawić na odpowiedź równą zagadnieniu. Bo jeszcześ jeśli nasz bohatyr jest dość głupi, że takie obejście się z sobą przyjmuje i upoważnia pchaniem się do salonu, gdzie mu niegrzecznością odpłacają jego cielątkowatą uległość i to słusznie! Ale dajmy nato, bo jużciż dzieją się cudowne na tym świecie rzeczy, żeby też pomiędzy nami potulnemi stworzeniami urodził się jaki zawedyjaka z rogatą duszą, któryby zagadnięty w ten sposób, księciu panu albo jaśnie hrabiemu odpowiedział przez ty lub przez trzecią osobę. Ilebyto było krzyku, ile utyskiwania na brusowatość tych gburowatych i bóg wie jeszcze jakich uliczników! A więc moja rada, porzucić ten do dzisiejszych już czasów niestosowny sposób wyrażania się, tak dalece już wyśmiany i wyświstany, że już nim tylko na teatralnych deskach przemawiają do udanych ekonomów.

— „Przyjechałem pożegnać się“ odpowiedział nareszcie nasz biedny bohatyr, któremu mimo całej wzwyczajonej uległości nie mogło wyjść z głowy owe uderzenie szpicrutowe.

— „Powinnam się tego była domyślić po romantycznym rumieńcu rozlanym na twarzy pana Bilczyńskiego“ zagadała żywo hrabianka, która zapewne nie myślała nigdy o nim, ale którę gniewało przecie w głębi duszy, że on się kocha w jakiejś tam popównie. Onaby rada była widzić go w sobie zakochanego, choćby dla tego, żeby go sowicie wydrwić; a nareszcie i dla tego może, by też dożyć choć raz w życiu tej niedoświadczonej rzadkości i widzić u stóp swoich zakochanego na prawdę.

— „A gdzieżto jedzie pan Bilczyński?“

— „Na jaki kiermasz zapewne.“

— „Mój stryj powołuje mnie do siebie.“

— „Ksiądz kanonik!“ zagadał grzeczniej nieco pan hrabia, który tylko przez względ na to pokrewieństwo cierpiał u siebie pana Kazimierza. Gdyby nie ten stryj kanonik, dawnoby już mu drzwi pokazano w dworze krzewinieckim. Prawda że byłto kanonik ruski tylko, ale zawsze kanonik! prawda też, że biednego bohatyra naszego przyjmowano jako synowca kanonika ruskiego.

— „Coż na to powie piękna panna Łopuchowska?“

Zarumienił się pan Kazimierz i śmielej niż zwykle spojrzawszy w oczy hrabianki, odpowiedział nie bez dodatku złośliwości:

— „Chętnie poczeka zapewne na mój powrót, który niedługo nastąpi, bo w jesieni nasz ślub.“

— „A to pan Bilczyński na serio zamyśla się żenić z naszą popówną?“ zagadała poważnie hrabina i westchnęła pobożnie „wszak ona ruskiego wyznania — ale prawda, i pan Bilczyński rusin podobno.“

— „Ale fe mamo! jakże można nazywać pannę Łopuchowskę popówną.... ona co tak jest oczytana, tak sentymentalna — a tak miłosierna i tak dobra, jakby anioł.... nieprawdaż panie Bilczyński?“

— „Że dobra jest, chciej wierzyć kuzynko!“ przemówiła nieśmiałym głosem panna Genowefa.

— „A wiem moja duszko, że razem z sobą wzdychałyście nad polskiemi romansami, nad Rynaldinim i podobnemi utworami literatury polskiej. Ale ja nie ciebie pytałam; jabym chciała wiedzieć zdanie pana Bilczyńskiego, który zapewne najlepiej musiał poznać bogdankę swoję. Wszak tak panowie teraz nazywacie kochanki wasze....“

Już tego było zanadto dla naszego bohatyra i mimo wolej czy oślej wytrwałości, jaką wraz z drugimi swego stanu ludźmi posiadał w znoszeniu pańskich impozycij, zaczerwienił się od złości, zadrżał cały i zdało mu się nawet, że w tej chwili zabolało go znowu uderzenie szpicrutowe, i chciał już żywo odpowiedzieć, gdy się nagle drzwi otworzyły i z śmiechem a z łoskotem wbiegł hrabia Alfred przebrany w inny tużurek, ale zawsze z owym szpicrutem świecącym. I wzniosłszy swój szpicrut do góry, jakby go chciał pokazać całemu towarzystwu, śmiał się zawzięcie niby, chociaż w uśmiechu jego było mniej wesołości szczerej, ale zato tem więcej złośliwości.

— „Wyobraź sobie *ma chere*“ przemówił nareszcie do siostry, do której najchętniej się udawał, gdy szło o jaką złośliwość „że ten poczciwy nasz sąsiad nie wie co to jest szpicrut honorowy?“

— „Czy być może?“ odpowiedziała panna Elżbieta i oczy jej zaiskrzyły się szydersko.

Brat i siostra godni siebie zrozumieli się od razu.

— „I jakkolwiek jest najlepszy i najspokojniejszy człowiek, omal się nie rozgniewał, gdym go uderzył tym szpicrutem po plecach.“

— „Po plecach?“ zapytała niby panna Elżbieta, a wyraz jej twarzy w tej chwili mógłby malarzowi służyć za typ do megery. „Wszakto wyraźne pasowanie na rycerza honorowego.“

— „Ja to przyjąłem jako przypadek... i spodziewam się....“ wyjęknął nasz bohatyr.

— „Piękny przypadek!... ja cię naumyślnie uderzyłem jako przyjaciela, któremu nie chciałem odmówić udziału w zaszczycie, jaki mnie się dostał.“

— „Chętnie przyjmuję żarty, jednakże....“

— „Ale mój poczciwy Bilczyńsiu, jeżeli mnie nie wierzysz, spytaj mojej siostry, spytaj mego ojca, czy to nie jest szpicrut honorowy.... Niech papa mu to wytłumaczy, powiedz Izabelko, bo idzie mi o to, by nasz sąsiad nie mniemał....“

— „To pan Bilczyński nie wie co to jest szpicrut honorowy?“ przemówił i hrabia Artur, wchodząc także w myśl godnego syna.

— „Mój brat dostał go rzeczywiście przeszłego roku jako nadgrodę.... zaręczam pana Bilczyńskiego.“

— „Jestto w samej rzeczy oznaka honorowa!“ mruknęła nawet sama hrabina, niewstydząc się należeć do tej niegodnej mistyfikacii.

Boteżto tylko dowcipną mistyfikacią miała być cała ta scena, którą mam za tak upadlającą, że wolę zarzucić na nią zasłonę.

I jak zaczęli biednemu Kazimierzowi tłumaczyć i zaręczać, a wszystkoto niby serio, niby po przyjacielsku, a z owym przyciskiem szyderskim, który jest najdzielniejszą bronią złośliwego dowcipu, przekonali go prawie, że ten szpicrut zdobyty na wyścigach rączością konia i zgrabnością żokeja, był oznaką honorową, coś niby nakształt orderu — a więc i uderzenie nim, rodzajem odznaczenia. Nasz bohatyr nie był zapewne tak głupi, by się nie domyślał w tych wszystkich grzecznych tłumaczeniach, fałszu i szyderstwa, ale już jego położenie w salonie krzewinieckim było samo przez się tak fałszywe, iż ani umiał, ani śmiał znaleść się tam inaczej, jak tylko przyjmując za dobre i za prawdę cały ten obrzydliwy żart jaśnie wielmożnych z głupiego szlachetki. Byłato konieczna wynikłość zdybująca tym lub innym sposobem wszystkich tych, którzy podobnie bohatyrowi naszemu pchają się do towarzystwa nieswego, do towarzystwa, które przypuszczając takie figury (jak się o nich wyrażają) do swoich salonów mści się na nich podobnemi niby mistyfikaciami.

Sąto po prostu wyraziwszy, kpiny, które mają być dowodem dowcipu, a które są tylko dowodem szczególnej złośliwości charakteru, tem haniebniejszej, że się im udaje najczęściej bezkarnie.... I nie jestto przesada, ale najrzeczywistsza prawda, iż często się zdarza w salonie, że sobie pozwalają stroić żarty i wydrwiwać rozmaitemi sposobami takich parweniuszów, jak nazywają się dla salonów, wszyscy do nich ściśle nienależący. Mianowicie na wsi, może dla tego, żeby jednostajne nudy zaprzątnąć czem zabawnem, podobne drwiny zdarzają się najczęściej. I w niejednem zgromadzeniu salonowem na wsi można zdybać takiego poczciwego biedaka, jakiegoś dzierżawcę, ubogiego szlachcica, którego jeśli nie zdybie uderzenie szpicrutowe, to go zdybują czulsze bo codzienne uderzenia salonowego dowcipu panów, radujących się najmocniej, jak się im uda podobna mistyfikacia. I nie można prawie się im dziwić, kiedy mimo nieraz widocznych żartów, mimo jasnych drwin, znajdują się ludzie dość słabego, dość nijakiego charakteru, że się pchają koniecznie do salonów, gdzie im samym niemiło, nieswojsko i gdzie wiecznym celem urągowiska są ich poruszenia mniej zgrabne, ruchy prostackie, wyrażenia gburowate, przycisk mowy niesalonowy i całe ułożenie parafiańskie. A wszystkoto dla tej głupiej próżności, by można przed sąsiadem lub sąsiadką powiedzieć, że się było na wieczorze, na herbacie lub na obiedzie w takim salonie pańskim.

I nasz pan Kazimierz odurzony zupełnie, bo nie szczędzono mu grzeczności fałszywych, pożegnawszy najczulej towarzystwo krzewinieckie, wyszedł.

A gdy wyszedł, powstał śmiech w salonie.

— „*C'est unique!.... La grosse lute!.... C'est excellent!*“ zawołano.

— „Ale popówna mu to wytłumaczy“ ozwała się hrabina, która jedna z całego towarzystwa najmniej należała do całej mistifikacii i zanadto pogardzała takich wszystkich szlachetków, by nawet chciała drwić z nich.

— „*Eh bien!* coż z tego?“

— „*Un homme de rien!....*“

— „*Un pauvre hère!*“ zakrzyczano ją, a najmocniej śmiała się panna Elżbieta, która doskonale zrozumiała powody tego uderzenia szpicrutowego. Ona wiedziała najlepiej, że to nie był przypadek.

(Ciąg dalszy nastąpi)

PRZESZŁOŚĆ.

Jeżeli wywołam z przeszłości ukrycia
Siłą wspomnienia upłynione chwile,
Wracają do mnie ale nie do życia,
Błyszczą obłudnie jak skrzydła motyle,
Których gdy ręka zuchwała dotyka
Kruszą sie tęcze i cały blask znika.

Jak nocna mara kiedy na zaklęcie
Wieszczego słowa co w głąb ziemi pada,
Połomie grobu tajemne pieczęcie,
Staje przed oczy posępna i blada:

A gdy w gorące chwytasz ją objęcie,
Jak mgła rozpierzcha i jak wiatr przepada,
Próżne w powietrzu zostawując smugi,
A w sercu tęschność i niepokój długi.

Wspomnienia moje gorącym tchem pieką
Jak upior myśli. Choć czas świeżość zetrze,
Chociaż go trumny przywaliło wieko,
Choć go grobowe owionie powietrze,
On wraca zawsze niecić żar piekielny,
Zawsze umarły, zawsze nieśmiertelny.

I gdzież jest dłoń ta, która go na nowo
Obdarzyć może życiem poprzedniczem?
I kazać deskę opuścić grobową,
By z dawną siłą i z dawnem obliczem,
Dawne w różanych ustach mając słowo
Obdzielał szczęściem jak dawniej zwodniczem?
I gdzież jest dłoń ta, co z marzeń krainy
Na jaw umarłe powskrzesza godziny?

Zwijając szczęście w przeszłości całuny
Składasz do grobu najdroższą istotę;
Jeśli masz wiarę w zmartwychwstanie truny,
Żal ci ukoi i zmniejszy tęschnotę,
I oczekiwać będziesz z chwili w chwilę,
Kiedy się życie obudzi w mogile.

Jak po żałośnym przyjacioł rozdziele,
Chociaż dni wiele, wiele lat upłynie,
Choć zajdzie przeszkód i zawodów wiele,
Nie słabnie wiara, nadzieja nie ginie,
Wciąż oczekują wierni przyjaciele!
A serce jeszcze w ostatniej godzinie,
Kiedy go troska strawiła i praca,
Na łożu śmierci pyta: „czy nie wraca?“

Leszek Borkowski.

Wiadomość o powieściarce francuskiej pani George Sand.

przez

Henryka Sucheckiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Niebawem po Indianie, Walentyna wyszła na widok powszechny i odkryła nowe lico talentu pani George Sand. Pominąwszy kilka obrazów wyświetlających heroiny postać, powieściarka zapełnia stronnice odcieniowaniem uczuć i namiętności. Świeżą dziewiczą myślą kreśli najtajniejsze tętna serca swojego. Puściwszy wzrok w tonie własnej duszy, mało się troszczy o świat ją otaczający. Tak Adam świeżo ulepiony, w chwili, kiedy go stwórca duchem ozionął, na siebie samego najprzód ciekawe zwraca oko! tak dziewica w życie wstępująca, w łono uczuć swoich pierwszy wzrok zatapia; po takiemto śledztwie dopiero bada świat ją otaczający. Spokojniejsza, władniejsza swej myśli, pisząc Walentynę, osoby swej powieści przeniosła na urocze niwy Berri, kędy dzieckiem biegała. Tam kraj miłości łączy się z cudami stworzenia. Pani George Sand zjednała sobie odtąd prawo obywatelstwa w rzeczypospolitej autorów francuskich, a samozwańczyni (nazwisko prawdziwe Dudevant) przededniem jeszcze nieznana, dziś już wsławiona, błyszczy pomiędzy imionami od powszechności najwięcej ulubionemi. Lecz już wtedy rozumny i bezstronny osąd także i swoje wznosił głosy, żądając sprawy od autorki Indiany i Walentyny z wpływu utworów tych na kobietę i rodzinę. G. S. niewiele się troszczyła o różne zdania o niej krążące, bo napisała Lelią, liryczną mowy niewiązanej poezią, spiew gorącego natchnienia, powtarzający katusze wszelkich dusz, pałających nienasyconem pragnieniem sławy, pychy, miłości lub czci; dusz, co w sobie zwinięte giną, kiedy ich skrzydłom powietrza zabraknie. Lelia zdaje się być powrotem z pełnej przygód za miłością gonitwy; jestto niesmak po namiętności, przeczenie po wierze, bluźnierstwo po modlitwie; jestto nakoniec trwoga przed rzeczywistością przyszłą i zwątpienie. Lelia zapowiedziała przejście pierwszego okresu w drugi nowy. Nad Lelią p. Lerminier rozpłynął się był w zawołanym niegdyś artykule; w niej znajdujemy rzeczy, które trudno nawet przyznać kobiecie. Tam powieściarka robi się natchnioną prorokinią. Radaby stworzyć świat nowy ducha i społeczności ludzkiej, mało bacząc, iż tylko myśl boska w przyrodzie i ludzkiej istocie tkwiąca, zarzew twórczości nosi. Takto niedojrzałość rozumu wabiła i owładała młodzież i białogłowy we Francii i po innych ziemi stronach. W Lelii słychać ostatni niby za miłością wrzask, ostatnie potem miłości kwilenie; widać największe liryzmu wytężenie, po którym nastąpiła życia proza; jakoż napisawszy ją zdawała się pieweczyni lżej i swobodniej oddychać. Czarne chmury oblegające piękne jej skronia ustąpiły mrakom zadumy, a w młodym jeszcze jej roku, wczesna już na jej sercu zapadła miłości jesień. Aby się wyrwać z ostatnich tej gorączki uścisków, ostatnie czyniła natężenia, a jak w XVII stuleciu malarze, z laską w ręku przebiegła Włochy. Z tejto doby wyszły na jaw wszystkie nadobne owe utwory w Wenecii lub Florencii wylęgłe: Zażyły Sekretarz, Metella, Ostatnia Aldyni, Matea itd. We Włoszech pojawiły się tudzież szczere jej duszy chorobliwej i znudzonej wyznanie w pierwszych „Listach podróżnika.“ A gdy miłość widzi się już przy skonie, roskoszuje wspomnieniem minionych cierpień. Ponieważ jak dusza, tak miłość nie zamiera, ale się tylko przeobraża. Ażali gdy czas wszystko rozczynia, aby na świeżo stwarzać, owoż nieubłagana jego lubo powolna al-

chemia przeistacza i serce ludzkie nowemi go natchnieniami napawające. Podobnież Listy podróżnika niepocieszonego przesilnym były z liryzmu do prozy przechodem pani G. S., przejściem z zamiłowania siebie do zamiłowania bliźniego, a poźniej aż — ludzkości. Z zamiłowania siebie, rzekłem, wyszła pani G. S. Miłość bowiem jest zamiłowaniem siebie, gdyż kochając osobę inną, pragniemy być nawzajem kochani. Bez tego pragnienia niemasz prawdziwej miłości, chyba udawanie, lub nadprzyrodzona obłąkanej duszy egzaltacia. Pragniemy zaś wzajemności dla własnego wymarzonego szczęścia, dla zaspokojenia niepojętego głosu wewnętrznego, wrodzonego popędu serca. Czując w sobie zaszła zmianę, świetna pisarka nieznanym swym przyjaciołom zapowiedzieć mogła, poświęcając swe pismo: „Stronnice, które wam teraz przesyłam, okażą, dokąd może dojść zniechęcenie i zwątpienie, a nawet wam powiem, jak znaleść nadzieję i siłę.“ Otoż zaraz w Mopracie (Mauprat) zapowiedziana objawiała się zmiana. Wszelako rzut oka na dotychczasowe prace pani G. S. łatwo przekona, że już autorka Indiany, Lelii, Jędrzeja sama dziś poczuje wyrzuty z obwieszczania pojęć, wymarzonych na pierwszym wstępie do życia literackiego. Uniewinnia to panią G. S., że za skazówką serca pisała; jednakże serce jak rozum mają obłędy swoje.

II. OKRES.

Ogólna cecha dzielnego utworu Moprata od poprzedzających powieści silnie odbija. Pani G. S. przez własne może zawiedzenia się i złudzenia, mężczyznę robiła pigmeem obok niewiasty. Przytłumionym oddychająca żalem i gniewem, skreśliła go wnet bezsilnym, wnet samolubnym. Wielką Indiany postacią zaćmiony jest Rajmon ciasnej i małodusznej głowy, suchego i zimnego serca; od Walentyny upokorzony słabego umysłu Benedykt, od Lelii Stenio. Słowem, stanął na zrębie las, w którym białogłowy dębami, mężczyźni trzciną. Lecz Moprat, jedno ze znamion okresu drugiego, odmienia grę; a chociaż mężczyzna nie dobił się jeszcze swej postawy i mocy, już niepróżna łudzi go nadzieja, iż kiedyś, dzięki kobiecie, odzyska swą męskość. Nieprzerywanym wątkiem przeprowadzane to poniżanie mężczyzny dla niezbitej po wszystkie czasy ogółem biorąc, niższości płci słabej, nastręczałoby tu sposobność uśmiechnąć się z jednostronnych pani G. S. poglądów. Jednakowo takie zapatrywanie się było skutkiem uczucia własnej godności oraz zacności swojej i górowania nietylko nad tylą współczesnemi jej rówiennicami, ale także nad wielą płci męskiej indywiduami, niepoczesne imię w pismiennictwie dzierżącemi. Prócz tego dopatrzyć się w tem daje ogromna jakaś serca osobista sprawa, a nie godzi się szyderstwem lub dzikością prześladować nieszczęśliwych, osobliwie sercem bolejących. Jestto bowiem cierpienie dla tego wzniosłe, że tylko zacnie myślących i rzewnie czujących dusz bywa udziałem; na tym padole tylko człowiek na nie bywa skazanym. Z tem wszystkiem w początkowych dobach zawodu jej literackiego, przebija się myśl cywilizacii przez niewiasty, cel emancypacii kobiet i hipostaza odrodzić się mającej płci zeńskiej. Jakkolwiek pomysłu pani G. S. cywilizowania przez białogłowy w całej jego objętości podzielić trudno; wszelako nie cywilizacia, czyli uzacnienie, ale raczej uobyczajenie świata przez kobiety, jednakże kobiety wedle innego jak po dziś dzień zarysu wychowane, jest szczytnem połowic naszych przeznaczeniem. Albowiem mimo tak niskiego stopnia, na jakim jeszcze stosownie do powszechnie przyjętych w świecie instytucij i zwyczajów, wychowanie niewiast przestawać zwykło, przecież i dziś powiedziećby już można, że jak mężczyźni stanowią prawa, tak kobiety zawiązują poniekąd obyczajów zakony. Ale co do wielkiej przewagi i wyższości, jaką francuska powieściarka upatruje w białogłowie nad mężczyzną, tak pod względem intelektualnym jak i moralnym, chociaż jej ziomkowie recenzujący przez wrodzone im ugrzecznienie lub zarozumienie okoliczność tę pomijać pochopni: my taki sposób widzenia pani G. S. nazywać prostą ułudą potąd nie będziemy się wahali, pokąd nietylko godne nasze, ale i ucywilizowanego świata całego niewiasty, wyższem nad dzisiejsze, na samych prawie rzeczach sztuk nadobnych ograniczonem, wychowaniem olśnione, inne ogólnie nie ustalą przekonanie. Do prozaizmu okresu tego należą także pomysły pani G. S. o małżeństwie. Niemieccy jej osądcy utrzymują i ostro jej to przyganiają, że występuje przeciw ustanowieniu małżeństwa; Francuzi tego w niej nie widzą. Jakkolwiekbądź, sądzić zaiste należy, że szkodzi ona pismami swemi zakonowi temu wielkiemu. Śmiałość mowy o małżeństwie (jak spiewaczki Cosimo w hrabinie Rudolstadt) wypływa istotnie z nauk ultrapostępowych i zawrotu poetycznego, który był rzeczywiście pierwiastkowym jej do autorstwa bodźcem. Chrześciańskie małżeństwo, jako mistyczny sakrament, i cywilny ślub, jako familijny instytut, i towarzyskie wesele, jako domowa uroczystość: wszystkoto razem wygląda u niej niby wielogłowy potwór, połykający niewiasty, które mu kościoł i społeczeństwo na objaty składa. Tę poczwarę zabić mogą wedle autorki, kobiety nowo rozmajoną wiosną ducha i miłości. Wnet atoli sama się zmiarkowała, że kreśląc o małżeństwie podobne wyobrażenia, idzie się wbrew rozwojowi stosunków, wielowiecznemi dziejami uświęconych; że wprawdzie podobać się można niektórym poetom, kobietom, młokosom, a ogólnie ludziom wpraw lekkich lub nadobnych, osobom nareszcie, co dzikim hołdują małżeństwom: ale ludzkość jej nie poklaśnie jednomyślnie i trwale. Boć czyto w starożytności, czy w wiekach średnich, czy w nowszych, zawsze oświeceńsze i uobyczajone narody czciły związki

małżeńskie jako święte urządzenie, a wyskoki wszelkie, choćby najpoetyczniejsze, więcej poniżają białogłowę niż mężczyznę. Przeto też wszystkie stany w ślubach małżeńskich uzacnienie człowieka i szczęście osobiste upatrują. Zepsute tylko charaktery do bezobowiązkowej wolności lub swawoli swe życzenia, przekonania i dążenia skłaniają. A pojmujący ważność stanu małżeńskiego, każdy obywatel w rzeczywistości już żyjący, pogardza takiemi pisklętami wylęgłemi w niedościelonem gnieździe mózgu. Chociaż pani G. S. nie zbijała wzręcz istniejącego ustanowienia małżeństwa, ale raczej powstała przeciw lekkomyślności, z jaką się kojarzyć zwykły stadła odwrotnego częstokroć przeznaczenia; jednakże ani Indiana, ani Walentyna, ani Lelia nie zbudowały białogłów, które je czytały. Takie z nich, co z prawego toru obowiązków moralnych zbaczały, nie znalazłyż cichego pobłażania, lub przynajmniej wymówek, w stronnicach owych? A takto i niezaczepiając zakonu małżeństwa wstępnym bojem, przecie do tego samego często wypadku doszła G. S. stosownem osób cieniowaniem, ustawicznem niezgodności umysłów wyszukiwaniem, lub podobnem podżeganiem. A gdy takie obrazy nie zachęcają do tyle ważnych, świętych i tyle pożytecznych ślubów, ganić je powieściarce francuskiej otwarcie wypada. Ktożby się nie rumienił lekkomyślnością lub niewiadomością do tego stopnia dochodzącą, iżby nie uznawał, że chrześciaństwo, uobyczajenie europejskie, prawa społeczeńskie i religijne, szczęście domowe, nawet towarzyskie uroki spoczywają po wielkiej części na posadzie małżeńskich stosunków. Zwalmy ten zakon, a wrócimy do dzikości obyczajów i życia, do zepsucia, do nieładu w domu, za domem, w sąsiedztwie, w rodzinach, w narodzie, w ludzkości.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

TEATR.

Nowy dramat pani Birch-Pfeiffer „Stefan z Głogowa czyli car i powroźnik“ przedstawiano d. 3go stycznia w polskiem tłumaczeniu na scenie lwowskiej. Płodna ta pisarka i artystka dramatyczna razem, rok w rok obdarza scenę niemiecką kilkoma dramatycznemi pracami. Po większej części treść bierze z powieści. Celuje między pisarzami niemieckiemi dramatycznem osnowaniem zdarzenia. Ale też na tem zdramatyzowaniu zdarzenia polega najwięcej jej talent. Nigdzie nawet śladu dopatrzyć nie można wewnętrznego ruchu w charakterach. Postacie wprowadzone w akcie pierwszym pozostają niezmienione w wewnętrznem usposobieniu aż do aktu ostatniego. W dramacie powinna namiętność być rozwijana, powinne być czynami oznaczone rozmaite przejścia tej rozwijającej się namiętności. To nadaje życia utworom dramatycznym. Pani Birch-Pfeiffer umie zaś jedyną tylko chwilę charakteru podchwycić i nią oznaczać postać przez cały ciąg dramatu. Taki nieruchomy, stereotypowy charakter wprowadza potem w rozmaite zawikłania przypadkowe; a że charakter się nie zmienia, więc naprzód wiemy, jak w każdem zawikłaniu się znajdzie, jak z niego się wydobędzie. Mniej obeznani z sztuką dramatyczną widzowie nie mogą sobie z takiego dramatu zdać sprawy należytej. Widzą zdarzenie dosyć loicznie lub trafnie osnute, widzą charaktery i dobre i złe, a jednak nieobudzające ani sympatii ani antypatii. Do rodzaju takich dramatów należy i Stefan z Głogowa. Dla określenia bliższego tego utworu dodaćby jeszcze potrzeba, że zawikłania są w nim często za rubaszne, często niezręczne, a narodowość miejscowa nacechowana jedynie skradzeniem z kasy carskiej przez marszałka cesarskiego półmiliona bomażków. Na tejto kradzieży polega wyłącznie całkowita intryga sztuki. Do podniesienia rubasznych zawikłań przyczynili się niemało i nasi aktorowie, wyszukujący z wielką troskliwością nawet miejsca sposobne, gdzieby i swoją rubaszność zaaplikować mogli. Hucznym śmiechem wynadgradzała ich za to galeria.

Rozmaitość.

Czartoryski, jenerał ziem podolskich, przyjechał był raz na popis do szkoły kadetów, której był komendantem. Śród popisu któryś z kadetów zaświstał na piórku. Nie podobało się to księciu, a gdy nikt nie chciał przyznać się do winy, kazał rewidować całą szkołę, ale daremna praca; szukają piórka w jednym kącie, ono odzywa się w drugim, idą tam, już go słychać gdzieindziej. Straciwszy czas i nadzieję znalezienia go, książę połajał szkołę i dał pokój szukaniu. Gdy po skończonym popisie odjeżdżał i już na schodach dobyć chce chustki, znajduje piórko w swojej kieszeni.

Od dzieła: „*Medulla Theologiae*“ (szpik teologii) przez Jezuitę wydanego, zwano u nas żartem Jezuitów szpikami. Po zniesieniu tego zakonu, Piramowicz Exjezuita u stołu Ignacego Potockiego stukał długo rurą z barszczu o talerz i nie mógł szpiku wydobyć. Dworzanin stojący za krzesłem, chcąc się z dowcipem popisać, szepnął Piramiczowi: „Już teraz niema szpików“ „Ale rury jeszcze są“ odpowiedział Piramowicz.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.